

PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.
WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU, OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer 2.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 2-go.

Rocznik III. Kraków 1-go lutego 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 2.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Następny numer

to jest trzeci numer *Światła* otrzymają tylko ci Czytelnicy, którzy już zapłacili prenumeratę na ten rok, i którzy ją uiszczą do końca lutego bież. roku.

Ktoby zaś nie zapłacił do tego czasu prenumeraty — temu od marca wstrzymamy dalszą wysyłkę pisma.

Przypomnienie! Prenumeratę *Światła* prosimy przysyłać nie razem z prenumeratą *Nowego Dzwonka*— ale **osobno** pod adresem: **Redakcya** ***Światła*** w **Krakowie** — ul. Powiśle l. 12.

Ważność prasy!

O. Kolb, słynny „apostoł prasy“ tak pisze o gazetach: „Zła prasa czyli złe gazety, są najniebezpieczniejszem zwierzęciem drapieżnem, które nie mieszka w lasach dziewiczych i w pustyniach, ale w pośrodku ludzkości urządza wyprawy łupieskie, niszczy honor i dobre imię, zatruwa niewinność, wysysa krew chrześcijańskiemu ludowi. Karmić tego rabusia — jest zbrodnią przeciw ludzkości“.

Papież Leon XIII. mawiał: „Ci, którym dobro religii i społeczeństwa rzeczywiście leży na sercu, winni popierać prasę stosownie do swego mienia. Żołnierze prasy potrzebują koniecznie takiego poparcia, bez którego ich prace, albo żadnego, albo bardzo mały skutek mieć będą".

O. Diessel głosił: „Pieniądze, które wydajemy na prenumerowanie katolickich dzienników, są najlepszą jałmużną, jaką dać możemy.

Pewien mowca na kongresie katolickim mówił: „Dajcie mi dobrą prasę, a ja odnowię oblicze ziemi".

Z tych przytoczonych tutaj zdań wynika, że grosz wydany na popieranie i prenumerowanie pism katolickich jest i dobrym uczynkiem i zasługą wobec narodu i sprawy katolickiej, — przeciwnie zaś prenumerowanie pism złych jest zbrodnią wobec Kościoła i narodu!

Chrystus a ludzkość.

Przed przeszło dziewietnastu stuleciami zjawiła się pewnego dnia w świątyni jerozolimskiej para rodziców. Byli to prości i ubodzy ludzie, znani w swej ojczyźnie, jako Marya i Józef. Marya trzymała na rękach małe, delikatne dzieciątko, Józef zaś koszyczek z parą gołębi. Była to ofiara, której żądało prawo żydowskie od matki, obdarzonej dzieciędem przez Boga. Złożono ofiarę a z nią ofiarowali Marya i Józef w największej pokorze swe dziecię Bogu.

Mieli już opuścić święty przybytek, gdy zbliżył się do nich Symeon, zacny i sędziwy kapłan, i wziął od nich na swoje ręce dziecię, a w oczach jego zabłysła nieopisana radość i uwielbienie. Symeon bowiem, oświecony przez Boga, wiedział, że owe niepokaźne dziecię jest tym, za którym on i cały Izrael tak długo tęsknił, że ono jest właśnie przez Boga obiecanym Mesyaszem. To też sędziwy kapłan głośno wielbił dobroć i litość Boga za to, że mu pozwolił jeszcze przed śmiercią oglądać Zbawiciela.

Lecz Symeon był także w owej godzinie nadziemskiego oświecenia prorokiem. Wzrok jego, zaostrzony przez nadprzyrodzone światło, sięgnął w bliską i daleką przyszłość, a hymn radości Symeona dzwoni i dziś jeszcze słowami wielkiej przepowiedni: «Oto ten położon jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą».

Są to wieczne i wielkie słowa, ponieważ mówią one po wszystkie czasy, jak ludzkość będzie zachowywać się wobec Zbawiciela. Oto Chrystus będzie miał zawsze wielkich i silnych przeciwników, on jest «znakiem, któremu sprzeciwiać się będą». Z powodu tego sprzeciwiania się dzieli się ludzkość na dwie części: dla jednej jest Chrystus upadkiem, dla drugiej zaś powstaniem. To jest ten dwojaki stosunek ludzi do Boga: z jednej strony wrogów, z drugiej zaś przyjaciół miał zawsze Zbawiciel i tak będzie zawsze, aż do końca świata.

Zaledwie tylko urodził się Jezus Chrystus w stajence betlejemskiej, a już stał u jego żłóbku potężny wróg i przeciwnik. Był uim król Heród, który przedstawiał polityczną czyli państwową potęgę. Później zaś, gdy Chrystus Pan rozpoczął swoją działalność publiczną, wystąpił przeciwko Niemu inny potężny mocarz: uczeni w piśmie i Faryzeusze.

Była to duchowa potęga, która zwalczała przedewszystkiem Boskość Chrystusa; zaprzeczała ona temu, jakoby On był synem Bożym, przedstawiała go jako zwykłego człowieka i mówiła ludowi, że Chrystus jest oszustem, który działa cuda dzięki tylko swojej czarodziejskiej sile i przy pomocy złego ducha A gdy w ten sposób lud został przeciw Zbawicielowi podburzony, wtedy potęga polityczna i duchowa podały sobie zgodnie ręce i przybiły Jezusa do krzyża.

I tak, jak wtedy, było mniej więcej zawsze. A czy dziś dzieje się inaczej? Na to pytanie odpowiedzieć może każdy, kto tylko na krótko rzuci okiem na polityczne i naukowe stosunki. Czy niema dziś krajów i państw, gdzie starają się gwałtownie wyrzucić Chrystusa z publicznego życia? Jakże to często bywają dziś uchwalane prawa, które sprzeciwiają się nauce Chrystusa, uciskają

religię chrześcijańską, a jej wyznawców prześladują, a przez to wzmacniają bezwiarę i krzewią nowożytne pogaństwo. Z niektórych krajów dochodzi nas wprost dziki głos, wołający: Precz z Chrystusem w prawodawstwie. Precz z Chrystusem w małżeństwie i rodzinie! Precz z religią w szkołach!

A cóż robi nauka i wiedza? Otóż tak zwana nauka jest gorącą zwolenniczką walki z Chrystusem. Mówimy wyraźnie «tak zwana», bo nauka prawdziwa nigdy nie była i nie będzie wrogiem Chrystusa.

Ale ta tak zwana niesłusznie nauka jest silnie rozpowszechnioną i zawraca niejednemu głowę. Taka to nauka jest pozbawiona powagi i głębszego znaczenia, ponieważ zamiast przekonywujących dowodów daje tylko nigdy nie dające się udowodnić przypuszczenia (czyli hipotezy).

Przypuszcza więc ta nauka z dumą, że Chrystus był jedynie zwykłym człowiekiem, a Jego religia jest dziełem ludzkiego ducha; Chrystusowi przypisuje wielką mądrość i cnotliwość, ale nie może się na to zgodzić, ażeby Zbawiciel był Synem Bożym. W niższych i wyższych szkołach woła ta «tak zwana» nauka; »Precz z Chrystusem!» — z tysiąców czasopism, dzienników i książek krzyczy ta fałszywa wiedza czytelnikom: «Precz z Chrystusem», a tysiące ludzi aż do rzemieślnika i wieśniaka dają się uwieść nieudowodnionym hasłom i również niby w imię nauki krzyczą: precz z Chrystusem!»

Na dobry i trafny pomysł wpadła więc moc piekielna, ów książę ciemności. Lepszych bowiem sprzymierzeńców w walce ze znienawidzonym Chrystusem nie mógł już chyba znaleźć, jak bezbożną potęgę państwowa i tak zwaną wiedzę. Pierwsza posiada siłę fizyczną i materyalną, a druga zasypuje ludziom oczy piaskiem i robi ich ślepymi na światło prawdy. Dodajmy jeszcze do tego potęgę grzechu, namiętności i złych skłonności ludzkości — a zrozumiemy, że piekło jest w możności połowę świata wysunąć do walki przeciw Chrystusowi, połowę świata, która na całe gardło wrzeszczy: «Precz z Chrystusem!»

A ponad ciemnemi chmurami, które ta gwałtowna wojna z Chrystusem gromadzi, jaśnieją niebiańskiem światłem prorocze słowa Symeona: «Ten jest znakiem, któ-

remu sprzeciwiać się będą; On jest położon na upadek wielu».

Świat jest podobny do wielkiego pola walki. Dwa ogromne wojska stoją tam naprzeciw siebie. W pośrodku siedzi na wzniesionym tronie Jezus Chrystus. Jedno wojsko chce go zrzucić i kroczy przeciw niemu, uzbrojone w nienawiść i pogaństwo. Druga zaś armia chce Go wynieść wysoko i uwielbiać i walczy w jego obronie bronią wiary, nadziei i miłości. Przeszło 19 stuleci kipi już ta walka i nigdy się nie skończy, ani na jedno okamgnienie, jak tylko długo ziemia obiegać będzie słońce wokoło.

Kto jednak zwycięży? Według dotychczasowego przebiegu walki można powiedzieć z całą stanowczością i pewnością: Chrystus musi zwyciężyć i panować! Wielkie, wspaniałe państwa znikły, całe ludy wymarły; miejsce jednej nauki zajmuje inna, jeden wynalazek niszczy inny. Jedno tylko pozostało i trwa — państwo Chrystusa, chrześcijaństwo.

Gdyby chrześcijanizm był nauką i tworem czysto ludzkim, wtedy wrogowie Chrystusa byliby go już dawno doprowadzili do upadku, a że się tak nie stało, to dowód boskiego początku religii Chrystusowej — że się zaś nigdy tak nie stanie, za to ręczą słowa Ojca niebieskiego, wypowiedziane do Syna Chrystusa: «Królestwu jego nigdy końca nie będzie».

Tak tedy stoi Chrystus w pośrodku dziejów świata, znienawidzony i prześladowany przez jednych, przez drugich zaś miłowany i wielbiony. Żaden człowiek, który ma wiadomość o Jezusie Chrystusie, nie może zachowywać się obojętnie względem niego, musi więc albo nienawidzić go albo też kochać, czyli być albo jego wrogiem, albo przyjacielem.

Krzyż nad Niemnem.

Szumi błękitny Niemen, szumi i płynie szeroko, potoczyście, wśród pól żyznych, wśród łąk zielonych, wśród puszcz podniebnych. Nad nim mieszka lud cichy, praco-

wity, pobożny zamknięty w sobie, miłujący rodzinny szmat ziemi. Przechodził on niedole ciężkie i nędze i prześladowania, a jednak trwa niezmożony, nieustraszony, pogodny, czerpiąc ukojenie i siłę w modlitwie i wierze gorącej.

Ot, tam, o kilkaset kroków od Niemna, stoi chata wtulona w kępę jodeł; bielą się jej ściany, odbijając od zieleni drzew i zczerniałego, dranicami pokrytego dachu

To chata Warłajtysów.

Stary był ród Warłajtysów; szła wieść, że przodkowie ich jeszcze z krzyżakami walczyli, a miano ich w rodzinnej mowie znaczyło tyle, co wojak. To też, choć lata całe siedzieli cicho na rodzinnym zagonie, gdy tylko w kraju zagrała pobudka do wojny, każdy Warłajtys rzucał chatę i szedł bić się — z kim chcesz, byle za kraj! A chatę strzegły kobiety, majątku dorabiały się kobiety. I nie skarżyły się na ciężką pracę, nie wyrzekały, bo od dziecka miały wszczepione w dusze, że dla kraju niema dość wielkiego poświęcenia, dość ciężkiej pracy.

Dziś, choćby najdonioślej grała pobudka bojowa, żaden Warłajtys nie zerwałby się do broni, bo jedyny męski potomek, Adamek zaledwie trzynaście lat liczy. Mieszka w chacie rodzinnej z matką, siostrą — Marylką i staruszką prababką, co już blizko 90 lat przeżyła.

Warłajtysowa ociemniałą jest od dawna; powiadają, że oczy wypłakała; ale bo też miała w życiu grobów i nieszczęść co niemiara! A gdy ludzie wspominają jej niedolę, zniżają zawsze głos i mówią, jakby z trwogą i nabożeństwem:

— Starego Warłajtysa zabili w 46-tym roku... Coś się ludziom zaczęło zachciewać, coś zamyślali, coś szeroko roili — zginął. Syn jego, jedyne dziecko Warłajtysowej, zginął przed czterdziestu pięciu laty... powieszony... powieszony w oczach matki. Pochowali go tam, na wzgórzu, gdzie dawniej krzyż był, a dziś jeno macierzanka i jałowiec rozpościerają ożywcze wonie. Wnuk to znowu w 1891 roku... Tak się złożyło... był właśnie w Krożach; popędzono go z innymi nad brzeg Niemna i zepchnięto; poniosły fale ciało, którego nawet nie wydobyto. Tak widocznie sądzone było, aby żaden Warłajtys «swoją śmiercią» nie kończył.

Wieś cała czciła i kochała Warłajtysową; przychodzono do niej po radę i pociechę. Ona dnie całe spędzała na modlitwie, albo, choć ociemniała, przędła kądziel, nucąc pieśni pobożne, cichym, bolesnym głosem. Codziennie tylko, choćby w najgorszą niepogodę, wchodziła na wzgórze, gdzie jałowiec i macierzanka, klękała w miejscu, gdzie dawniej krzyż stał, i trwała tak w modlitwie i rozmyślaniach. Przesądni mówili, że rozmawiała z duchami Warłajtysów.

— Babuniu — odezwał się raz Adamek, — jak wy, ociemniała, znajdujecie drogę na wzgórze, gdzie dawny krzyż?

— Siedmdziesiąt lat tam chodzę, — odrzekła babka; — jeślim opuściła kilka dni, to tylko wtedy, gdym była ciężką złożona chorobą.

— A czemuście, babuniu, tak sobie upodobali to miejsce? — zapytał znowu.

Staruszka milczała chwilę, potem, wyciągnąwszy ramiona przed siebie, przygarnęła prawnuka i poczęła mówić stłumionym, jakby pozagrobowym głosem:

— Pora już, pora dziecko, abym ci to powiedziała tyś teraz jedyny mężczyzna z rodu Warłajtysów, a ja wiekowa, nad grobem, trzeba, abym ci powiedziała, dlaczego to miejsce czcić musisz i jakie jest co do niego moje jedyne pragnienie. — Już blizko lat 70, kiedy mnie pradziadek twój z moich rodzinnych Wiskitek tu przywiózł. Zanim do chaty mnie wprowadził, wprzód na to wzgórze przywiódł, gdzie wówczas stał krzyż wysoki z postacią Chrystusa, w wielu miejscach głębokiemi brózdmi pocięty. — Patrz, Marto, powiedział mi, ten krzyż stoi dwieście lat, każdy Warłajtys żonę tu przedewszystkiem po błogosławieństwo przywodził, tu nowonarodzone dziecię z modlitwą przynosił, tu przed wojną, o ten krzyż święty szablę zacinał...

Widzisz te cięcia?... Szanuj ten krzyż i to miejsce, bo to jak nasza świątynia, gdy kościół mamy tak daleko. Bóg świadkiem, żem krzyż szanowała i gdy mój zginął, gdym została sama w chacie z małemi dziećmi, szanowałam go; codziennie z modlitwą szłam do stóp jego, latem zawsze dzieciom w świeże kwiaty stroić kazałam i choć ciężko

mi wtedy było, zapłaciłam majstrowi z miasta, aby pomalował i sztachetkami otoczył.

I zechciał Bóg, że mimo starań, mimo zabiegów, krzyż padł, a że wewnątrz zmurszały był, w próchno się rozsypał. Postawić nowego krzyża nie dali. Com się naprosiła, ilem pieniędzy na starania straciła!... Odmówili. Trzydzieści pięć lat chodzę modlić się na to wzgórze, pod kolanami memi mam święte prochy mego syna-męczennika, ale nad sobą nie mam świętego krzyża, nie mam do czego przytulić się, jak dawniej, nie mam do czego piersią przypaść, na co łez mych wylewać!... I wtedy, gdy mi o śmierci twego ojca powiedziano, tom poszła tam, alem jeno na twardą ziemię się rzuciła, piasek jeno łzy moje pił, trawa od westchnień mych usychała. To tobie, dziecko moje, jak Bożą wolę przykazuję, szanuj to miejsce i jeżeli czasy się zmienią, jeżeli nowy krzyż postawić będzie wolno, uczyń to, uczyń, nie zwlekając. Choćbyś na to ostatni grosz z chaty miał dać, sprzedać ostatniego konia, lub bydlę, chośbyś zboże, do siewu ostawione, sprzedać miał — postaw! Gdybyś pieniądze na wesele przeznaczył — zaniechaj wesela; choćby na mój pogrzeb — zanieście mnie w czterech deskach, jeno modlitwę nad grobem wygłoście, a krzyż niech stanie... Zrobisz tak, Adamek?

Chłopiec zgrzybiałą rękę prababki do ust podniósł i odrzekł z prostotą.

— Zrobię babuniu!

. . . .

Wracał Adamek na letnie wakacye, na pierwsze wielkie wakacye ze szkoły, z dobrą cenzurą, z dobrą miną. Matka powitała go łzami radości, babka do piersi, milcząc, przytuliła. Chłopiec zauważył, że staruszka bardzo się zmieniła przez tych kilka miesięcy; pochyliła się jeszcze mocniej, ręce jej i głowa trzęsły się nieustannie.

— Babunia i teraz codzień na wzgórze chodzi? — zapytał Adamek Marylkę.

— Tak, ale teraz ja ją tam wprowadzam; samej ciężko chodzić staruszce.

— Marylka, wiesz, ja babuni taką radość gotuję, że zapomni o tych łzach, któremi oczy wypłakała.

— No, co to takiego? — zapytała zaciekawiona Marylka.

— Wy tu żyjecie bez wieści, co się na świecie dzieje, a choć dowiecie się o czem — niebądź, to dopiero w kilka tygodni po fakcie, więc też nie wiecie jeszcze i tego, że teraz wolno, gdzie chcieć stawiać kościoły i krzyże. Ja dowiedziałem się o tem zeszłego tygodnia.

— Ale, czy to pewne, Adamek?

— Jak najpewniejsze; wszystkie gazety pisały. To zaraz postanowiłem, że na wzgórzu babuni stanie krzyż według jej woli. O drzewo łatwo, matka nie będzie miała nic przeciw temu, że jedną sosnę się zetnie, sam drzewo obrobię i wkopię, tylko o figurę idzie.

— A tak, skąd ją weźmiesz?

— Figurę już mam, chodź zobacz!

Zaprowadził ją na poddasze, gdzie zaraz po przyjściu złożył pakunek w rogoży.

— Nie rozpakuję jej teraz, zobaczysz, gdy już będziemy do krzyża przybijali. Taki tam Chrystus, jak żywy; twarz cudna, słodka, głowa chyli się w cierniowej koronie, z pod której krew kropelkami spływa.

— Skądżeś ty to dostał?

— Kupiłem.

— A skąd miałeś pieniądze?

— O, pieniądze!... Na taką rzecz pieniądze muszą się znaleść!

— Mama przysłała mi na buty; nie kupiłem; czy to ja całe lato nie mogę boso chodzić, czym to nie chłop?... Te pieniądze użyłem na zadatek Rzeźbiarz, który robił figurę, poczciwy i grzeczny, zaufał memu słowu, że zapłacę resztę po powrocie z wakacyj i pozwolił mi ją zabrać.

— A skąd potem będziesz miał pieniądze? Mamę poprosisz?

— A cóż to nie będzie żniw?... nie będzie młocki?... niema dworu?!... Najmę się do roboty, będę pracował dzień w dzień, aż zarobię...

— Dwanaście rubli mi potrzeba.

— I zarobisz tyle?

— Zarobię!

— Co za szczęście! Pójdę, powiem o tem babuni.

— Daj pokój, Marylko! Babunia się dowie dopiero, gdy krzyż stanie, gdy go własnemi rękami namaca, własnemi ramionami obejmie. Będzie to tem większa dla niej radość. A najlepszy na tę uroczystość będzie dzień 29-go lipca, bo to rocznica śmierci dziadka.

— Masz racyę, Adasiu!

. . . .

Nazajutrz zabrał się Adamek do roboty. Od rana do zachodu słońca kopił dworskie siano, po powrocie do domu zaś zjadł jak najprędzej kolacyę i zaraz zabrał się z wiedzą matki, do ścinania wysokiej sosny, co rosła na granicy ich gruntu. Mozolił się srodze, ręce opadały mu ze zmęczenia, ale pracował wytrwale, niemal z zawziętością. Księżyc był wysoko na niebie, gdy z przeciągłym jękiem i trzaskiem łamanych gałęzi, padła stara sosna, co krzyżem miała zostać.

Następnych dni każdą wolną chwilę spędzał Adamek przy obrabianiu drzewa. Pomagała mu w tem, o ile sił starczyło, Marylka. Czasem który z sąsiadów przyszedł pomódz dzielnemu chłopcu, to też robota szła żywo i w dwa tygodnie po rozpoczęciu na biało malowanym krzyżu przybito postać Zbawiciela... Nazajutrz miano wkopać go na pamiątkowem wzgórzu. Adamek prawie nie spał tej nocy, tak był wzruszony. Wstał ze świtem z postanowieniem, że nie uda się do żniwa, a dzień spożytkuje na postawienie krzyża, tak, aby babka przyszedłszy na swe wzgórze, jak zwykle przed wieczorem, zastała już tam tę wielką niespodziankę. Zbudził Marylkę. Oboje wyszli przed chatę. Świat zdawał się mienić tęczowemi kolorami we mgle porannej, rozbrzmiewać chórem ptasząt.

— No, trzeba krzyż zanieść! — rzekł Adamek. — Wkopanie go i otoczenie sztachetkami dosyć czasu nam zabierze. Weź, Marylko, z tamtego końca!...

Dzieci schyliły się, objęły drzewo krzyża, ale ledwo uniosły, upuściły znowu na ziemię.

— Za ciężki! — szepnęła Marylka.

— Nie damy rady we dwoje!

— Trzeba mamę poprosić do pomocy.

— Mama teraz nie będzie miała czasu... musi śniadanie gotować dla czeladzi.

— To po śniadaniu.

— Stracimy blizko dwie godziny.

— A co robić?

— Tracić czasu nie możemy; muszę skończyć na tę godzinę, w której babunia wychodzi na wzgórze... Przecież to dzisiaj... rocznica.

— To spróbujmy jeszcze; może poradzimy!...

— Daj pokój, mam inną myśl — o patrz... Nastka Połajtysów już stoi przed chatą. Mateuszek też pewnie już wstał. W podwórzu u Kelbszów kręcą się — zawołamy Władka i Martę, tamtych także. W sześcioro poradzimy.

— Masz racyę! Biegnij do Kelbszów, a ja skoczę po Nastkę i Mateuszka.

W kilka chwil potem sześcioro dzieci z powagą i namaszczeniem niosło wielki krzyż na zielone wzgórze. Zdaleka w swych jasnych płótniankach, dźwigających na ramionach krzyż biały, wyglądały, jak nadziemskie zjawisko. Ludzie, idąc do roboty, przystawali, odkrywali głowy i szeptali wzruszeni:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

A inni dodawali:

— Szczęść wam, Boże!

A inni jeszcze:

— Panie Boże, wam zapłać!

Stanie to, stanie ta Boża męka, to ukojenie, ta pociecha, będzie gdzie iść, gdy do kościoła tak daleko. Panie Boże, wam zapłać, dzieci!

Raźno przez dzień cały szła robota na wzgórzu. Najcięższej przyszło wkopanie krzyża i ubicie przy nim ziemi, tak, aby nie groził upadkiem. Potem opłynęły nieraz, zanim dokonały trudnego dzieła. Stawianie sztachetek szło już śpiewająco. Podczas, gdy chłopcy wykończali je, dziewczęta skoczyły w pole po kwiaty na wianki; a moc maków i bławatów, ostróżek i rumianków pstrzyła się wśród nieskoszonych jeszcze owsów i pszenicy. Otoczono girlandą kwiecia krzyż, jak najwyżej. Praca była skończona. Dzieci, nie umawiając się wcale, z przyrodzonego instynktu, uklękły i zmówiły krótkie, serdeczne «Ojcze nasz».

— A teraz chodźmy po babunię! — rzekł wzruszonym głosem Adamek. Zdaje się już można?

— Można — szepnęła Marylka.

. . . .

Słońce, kłoniąc się ku zachodowi, obejmowało gorąco pieszczotliwie, postępującą gromadkę. Warłajtysowa, ubrana jaskrawo, po staroświecku, szła wsparta na ramieniu Marylki, która co chwilę podnosiła ku niej swą płową główkę, mówiąc pieszczotliwie:

— Babuńku, babuńkę dziś radość spotka.

A staruszka głową trzęsła jeszcze mocniej, jak zazwyczaj.

— Moje szczęście poza grobem, poza grobem się znajdzie.

Adamek postępował z drugiej strony z matką, która musiała wciąż go powstrzymywać, chciał bowiem biedz nieledwie, tak mu pilno było pokazać już swoje dzieło.

Za nim szła gromada ludzi, nieledwie wieś cała. Zbliżyli się do wzgórza.

— Co to dziś ścieżka tak udeptana? — rzekła Warłajtysowa. Ludzie widać tu chodzili... Czyżby o moim starym pamiętali?

— Pamiętają go i pamiętać będą, babuńku!

— Słyszę, jakby za nami dużo ludu szło, jak wtedy, gdyśmy Jana tu chowali.

— Nie na pogrzeb dziś idą, babuńku — na wesele.

— Woń jakichś innych kwiatów od wzgórza dziś płynie, nie sama macierzanka i jałowiec... pachną chabry i melissa i koniczyny.

— Bo tam dziś kwiecia wiele, babuńku?

— Kto je zaniósł?

— Cała wieś.

— Wszak dziś nie święto?

— Swięto, babuńku, wielkie święto, dla całej wsi.

— Święto... dla wsi?...

Wstępowały na wzgórze.

Niewidoma, jakby ożywiona mocą wspomnień, upojona niezwykłą wonią kwiecia, głowę podniosła, uchylonemi wargami piła oną cudną falę, płynącą od wzgórza i szła

wyprostowana, z rękoma wyciągniętemi przed siebie, jakby jej kilkanaście lat ubyło.

Weszła w otwartą bramkę ogrodzenia; suknia jej otarła się o sztachetki. Drgnęła, rękę wyciągnęła na prawo, potem na lewo, wyczuła sztachetki.

— Sztachetki — szepnęła — sztachetki... jak dawniej...

— Idźcie dalej babuńku! — szepnął zdławionym głosem Adamek i ujmując jej dłoń, złożył na krzyżu.

Wyraz nieopisanego zdumienia odbił się na zgrzybiałej twarzy staruszki; dotknęła krzyża obu rękami, potem posuwać je zaczęła wzdłuż i wszerz drzewa, wznosząc je wyżej i wyżej, aż uczuła przebite stopy Chrystusa pod swemi palcami. Wówczas otoczyła ramionami krzyż, ustami przypadła do stóp Zbawiciela, a krzyk nieopisanej radości wydarł się z jej piersi.

— Krzyż!... krzyż!... tu!... na mojem wzgórzu!

Usunęła się na ziemię i nie wypuszczając krzyża z ramion, płakała głośno, płaczem niepohamowanej radości.

— Kto, kto ten krzyż postawił?

— Adamek swojem staraniem i swoim kosztem — odezwała się matka, szlochając z rozrzewnienia.

— I nie zabiorą nam go?

— Nie zabiorą, babko!

— Boże, błogosław ci, dziecko moje, za tę pociechę, którą dajecie mi przed śmiercią. Boże, błogosław was, dzieci, w szczęściu, w pracy, zamiarach. Wzrastajcie w łasce u Boga i u ludzi!...

. . . .

I długo, długo modliła się pod krzyżem staruszka, a łzy rozrzewnienia i wdzięczności spływały jej z oczu.

— O, Boże! — szeptała — dzięki ci, Wielki Boże, że wracasz nam nasze krzyże...

HYMN DO BOGA.

Dobrze mi Panie, gdy w duszy mej zdrzemną
Walki i burze, gdy nadejdzie chwila,

Że tam wysoko z błękitów nademną
Bóg się wychyla...
Choć wiem, że odeń mię dzielą otchłanie
Dobrze mi Panie!...

Tego, co objąć nie mogą niebiosa
Dla mnie odbija każdy liść zielony
I kamyk polny i srebrzysta rosa
I gwiazd milijony,
Choć całej krasy odbić nie są w stanie
Dobrze mi Panie!...

Podziwiam kwiaty, których kielich duży
Słońce i rosę pochłania koroną
I młodszym braciom za osłonę służy.
Skrapia im łono...
Choć wiem, że kwiatów tych niedługie trwanie
Dobrze mi Panie!...

Podziwiam siłę nieśmiertelnej duszy
Co wchłania w siebie Twe odblaski Boże,
Bo ona słabsze, gdy je świat wysuszy
Ożywić może...
Choć wszystkich darów nie przeleje na nie
Dobrze mi Panie!...

Kiedy w kolebce maluchna dziecina
Do nieznanego życia się uśmiecha,
Gdy z drobnych ustek wypływać zaczyna
Modlitwa cicha,
Patrząc na życia pogodne świtanie
Dobrze mi Panie!...

Gdy na cmentarzu cichy wiatr powiewa,
Ptaki świergoczą nad świeżą mogiłą,
Kwiaty swe wonie roznoszą, a drzewa
Ochłodę miłą,
Że na sen wieczny mieć będę posłanie
Dobrze mi Panie!...

Że będę leżeć u stóp Twoich cicha
Z prochu powstała i w proch obrócona,
W proch będzie starta moja ziemska pycha
Nędznych korona;
I że mi ducha nie skazi konanie
Dobrze mi Panie!...

Swiata teżsame zostaną kontury
I po mnie ludzie żyć będą weseli
Nad moim grobem może zwisną chmury,
Piorun wystrzeli...
Że i grom wówczas zbudzić mnie nie w stanie
Dobrze mi Panie!...

W SZWAJCARYI.

Opowiadanie przez ks. St. M.

Szwajcarya jest to szmat niewielki ziemi, niby gniazdo krucze, czy lepiej orle, rzucone hen tam pod same niebo, bo istotnie — kiedy się jedzie wśród gór szwajcarskich zdaje się nieraz, że to jest droga do nieba samego: wciąż w górę i w górę, aż na szczyt — tam, kędy już niema żadnej rośliny, żadnego życia, tylko wiecznie — latem i zimą spoczywają mieniące się w blaskach promieni słońca zimne lodowce i śniegi bieluchne. A po bokach i ramionach tych gór — potworów, pną się wsie i miasta, pałace i hotele, pełzną koleje żelazne i wyśmienite szosy, ażeby podróżni, których rok rocznie Szwajcarya miewa do czterysta tysięcy, mogli się wdrapywać na wierzchołki śnieżne i stamtąd podziwiać potęgę twórczą Boga.

To też z całego świata spotkać tam można gości, zaczynając od naszych polskich żydów, aż do bogatych Amerykanów i Anglików. Wszyscy ci podróżni wiozą swe pieniądze biednym skąd inąd Szwajcarom, rozumiejącym jednak doskonale, że w zamian należy dać wygody, ażeby pociągnąć więcej ciekawych, a bogatych gości.

Szwajcarya, dawniej Helwecyą zwana, kraj to biedny. Natura hojnie go wyposażyła tylko w skały i wody, resztę, co mają mieszkańcy tych gór, sami zdobyli sobie pracą, nauką, sprytem i uczciwością.

Czy uwierzycie, że Szwajcarowie na odkosach swych gór, tam, gdzie niema źródełka żadnego, gdzie gleba jest twardą i żwirowatą, mają przepyszne łąki, które stanowią całą siłą gospodarstwa szwajcarskiego na wsi. I łąki te sztucznie uprawiane, jako bujna czupryna pokryły cały kraj i karmią one tysiące krów, które znów dają tłuste a zdrowe mleko, przerabiane potem na sery. Swiat cały zna te sery.

Gdy Polak ogląda fabrykę tych serów, gdy zwiedza małe gospodarstwa — skromnie czyste domki pod jednym dachem ze stodołą, ładne konie, wypasłe bydło, myśli z zazdrością w sercu, czemu to u nas wiejski gospodarz, mając nieraz, trzy, cztery razy więcej, niż Szwajcar ziemi, chodzi boso, a na przednówku nieraz głodno, gdy tymczasem taki sam wiejski gospodarz w Szwajcaryi je co dzień biały chleb, mięso, masło, pije kawę i wino, kształci dzieci i chowa oszczędności na czarną godzinę, I sama ciśnie się do głowy odpowiedź: tam oświata i praca tu — lenistwo i ciemnota.

Tak, Czytelniku, pracą uczciwą Szwajcar zmusza swą nędzną ziemię, ażeby mu ona hojnie rodziła, pracą ulepsza rolę, pracą buduje drogę i mosty. Niema zakątka takiego, gdzieby nie było szosy i to w najleprzym stanie; pracą dochodzi do dobrobytu. Dodamy tu jeszcze, że tam niema zbyt wielkich panów — obywateli, ani też żebraków i nędzarzy, co wyciągają rękę po jałmużnę. Wszyscy tam pracują, a po pracy rozumnie się bawią. W święta narodowe, kilka tysięcy wesołych młodych Szwajcarów się bawi, a nie widać tam, żadnej awantury, ani pijackiej breweryi.

Tak — zazdrościć im trzeba rozumu i uczciwej pracy. Rozumieją potrzeby kraju swego, to też pracują dla siebie i dla gości, którzy kraj ich zwiedzają,

Ziarna sieją mało, ale zato całą uwagę zwracają na hodowlę krów.

To też ażeby trawa obficie zeszła, ażeby mógł ją Szwajcar kilka razy w lato skosić, nie szczędzi swej fatygi i potu. Więc skoro tylko po żniwach i ostatniej koźbie, słonko zaczyna się schylać ku jesieni, a kobiety idą do winnic, Szwajcar wyciąga ze stodoły skrzynię — wóz na dwóch kołach, ładuje ją rozrzedzonym nawozem i wyjeżdża na pole, ażeby tam polać dobrze łąkę, potem, gdy tę robotę skończy, posypuje tę swą sztuczną łąkę suchym mięszanym z torfem nawozem, podsiewa różnemi wygrabkami z siana i zostawia odpoczywać na zimę.

Pracuje — i ma. Ma, bo pracuje rozumnie i nie zna głodu.

Kto u nas zada sobie tyle fatygi, ażeby w ten sposób nie już łąkę, jeno choć część poletka unawoził i opatrzył?

Ba, byłoby dobrze mieć takie pole, ale któż w karczmie ściany podpierać będzie, kto Szmulowi unawozi kieszenie!

Szkoda żyda! I dzieje się tak, że Szmul łapserdak aksamitną jarmułkę nosi, a ty, biedaku, przymierasz głodem i narzekasz, że ci ziemi mało. Pracuj, jak Szwajcar pracuje; upraw rolę, zasiej ziarnem nowem, dopilnuj na wiosnę i w jesieni, a będziesz miał więcej, niż się spodziewasz.

Podam jeszcze, że nigdzie na polu latem nie widziałem bydła, nigdzie też płotów nie było i nigdzie szkody.

II.

Mówiliśmy wyżej, że źródłem utrzymania dla Szwajcara jest jego bydło rasowe — tak podziwiane przez podróżnych. Istotnie dziwić się trzeba, że Szwajcarowie zwłaszcza w górach mając klimat ostry, ziemię nędzną, mają bydło rosłe, wypasłe. Krowy szczególnie dają dobre i tłuste mleko, przerabiane natychmiast na sery i masło.

Bydło szwajcarskie stoi w oborze i karmi się w domu, to też nigdzie nie widziałem ugorów, wygonów, nieużytków wydeptanych przez bydło. Wszędzie zielono, wesoło; na łąkach ich sztucznych rosną grusze i jabłonie, a nigdzie płotów i nigdzie szkody. Przy drogach na słup-

kach często się czyta «ban 5», «ban 10» — to znaczyć ma, że czeka kara takiego śmiałka, który zechce paść lub deptać cudzą trawę. I nikt tam się nie łakomi na cudze, dbając stale o ulepszenie swego kawałka gruntu.

Nierogacizna, kury i wszystko to, co może szkodę zrobić sąsiadowi, trzymają Szwajcarowie w klatkach lub w małych zagródkach, jak najmniej zostawiając miejsca na podwórko i zabudowania. To też nie chcąc rozbudowywać się na szczupłym swym folwarku, każdy gospodarz nadbudowuje dom mieszkalny i gospodarcze zabudowania do góry. Stąd domki są zawsze piętrowe. Gumno zaś i obora tak obmyślane, że bydło stoi niżej, a nad niem jest pomost i na tym pomoście ma Szwajcar to, co my nazywamy gumnem — stodołą. Na miejscu ma bydło i siano; nie potrzebuje dźwigać, z góry spuszcza na dół paszę i na miejscu z toku przez otwór w ścianie podaje na stronę bydłu. I pasza się wcale nie psuje od zapachu nawozu, bo stale się obora oczyszcza tak, jak u nas naprzykład we dworze porządnym stajnia.

Żyta, pszenicy, jęczmienia sieją niektórzy tylko i to bardzo mało.

Całe zaś gospodarstwo spoczywa na uprawie i zbiorze traw i siana.

W dolinach i w południowych powiatach Szwajcaryi widzimy często winnice z dobrym gatunkiem winnych jagód — to też obfitość krzewów daje ten dobry skutek, że czyste, prawdziwe wino, tam się sprzedaje bajecznie tanio, za flaszkę się płaci na nasze pieniądze 20 do 30 groszy.

(Dokończenie nastąpi).

Węgiel kamienny.

Jak się utworzył — i jak go wydobywają.

I.

Węgiel wydobywany z ziemi, a zwany kamiennym dla odróżnienia od węgla co powstaje ze spalonego drzewa, nie jest z natury swej kamieniem, bo on także powstał

z drzewa. Uczeni ludzie powiadają, że niegdyś, dawno, bardzo dawno, jeszcze przed potopem, ziemia była okryta ogromnymi lasami. Lasy te składały się z drzew olbrzymich, z postaci podobnych do dzisiejszych skrzypów, paproci i widłaków, lecz tak wielkich, jak nasze dęby i sosny.

Jak w naszych puszczach, tak w dawnych lasach drzewa nieustannie zamierały, ustępując miejsca nowym. Pnie martwe waliły się na ziemię, tonęły w bagnie, a przez setki i tysiące lat narastające w ten sposób warstwy materyału roślinnego zamulały piaski i zalewała woda. W czasie burz i wielkich powodzi woda również wyrywała drzewa i unosząc je całemi masami, pakowała w przepaści, jeziora i wąwozy, gdzie inne burze i powodzie przywalały je pokładami mułu, piasku, gliny i t. p., zagrzebując je coraz głębiej.

Tam to drzewo leżąc długo w ziemi pod wielkim naciskiem, a bez dostępu powietrza, powoli butwiało, rozgrzewało się i zwęglało, tworząc z upływem czasu twardy kamień, czarną jednolitą masę. Zdarzało się pewnie nieraz, że w pobliżu takiego pokładu drzewnego wybuchał jaki wulkan, czyli góra wyrzucająca z swego wnętrza ogień i lawę (płyn rozpalony). Ciepło stąd wynikające dopomagało do wytworzenia się węgla, którego pokłady zajmują nieraz kilkowiorstową przestrzeń, a bywają grube na kilka i kilkadziesiąt łokci. W takich pokładach można często rozpoznać kształty drzew, z których niegdyś powstały. Odznaczają się wyraźnie całe pnie, na pniach znów wyciśnięte ślady liści — a z nich to uczeni mogą dokładnie te zaginione drzewa narysować.

Pokłady węgla leżą czasem tuż pod powierzchnią ziemi, częściej jednak w głębokości kilku i kilkudziesięciu sążni. Bywają też rozmaitej grubości od kilku cali do kilkunastu łokci.

W Polsce są obfite kopalnie węgla w południowo-zachodniej części Królestwa, w okolicy Będzina, Sosnowca i Dąbrowy Górniczej. Te pokłady węgla zowiemy Zagłębiem Dąbrowskiem. Dalej ku zachodowi przechodzą one na Śląsk, gdzie tworzą kopalnie jedne z najbogatszych w Europie.

Użytek z węgla jest ogromny. Daje on silniejszy i trwalszy płomień aniżeli najtwardsze drzewo, lub torf,

a taniej niż drzewo kosztuje. To też węglem kamiennym palą nietylko w kuchniach i mieszkaniach, ale i różnych fabrykach, hutach, kolejach żelaznych i okrętach parowych. Wyrabiają też z węgla gaz do oświetlania ulic i mieszkań.

Gaz ten świetlny otrzymują w gazowniach, przepalając węgiel bez dostępu powietrza w wielkich rurach glinianych szczelnie zamkniętych. Po przepaleniu zupełnem w rurach pozostaje koks. Jest to węgiel pozbawiony smoły i innych części lotnych. Jest on szarawy, połyskujący, dziurkowaty jak gąbka i bardzo twardy. Rozpala się trudno, lecz żarząc się, wydziela znaczne ciepło. Koks używa się na opał (znacznie tańszy od węgla) do kuźni i hut żelaznych.

Koks tedy zostaje w rurach (skąd go co jakiś czas wygarniają), a w górę rurami żelaznemi uchodzi gaz gęsty, który w dalszym ciągu oczyszczają by go oddzielić od smoły — i gromadzą w wielkich zbiornikach gazowych, (gazomierzach) skąd już rurami rozprowadzają po mieście. Od głównej rury, idącej środkiem ulicy, odchodzą rury boczne do domów i mieszkań, gdzie kończą się odpowiednio urządzonemi lampami. Za pokręceniem kurka u takiej lampy, gaz wychodzi, zapalamy go i mamy piękne światło.

Smoła oddzielona od gazu, która zdawałoby się, że na nic się nie przyda, daje również wiele pożytku. Po dalszem ogrzaniu daje ona parafinę, podobną do wosku, z której robią wyborne świece. Daje też kwas karbolowy, używany na lekarstwo i do czyszczenia różnych rzeczy i innych potrzeb; daje i inne lekarstwa, wreszcie prześliczne farby w najrozmaitszych barwach i odcieniach zwane farbami anilinowemi. Są one wprawdzie trujące przy użyciu wewnątrz, ale służą wybornie do farbowania różnych tkanin.

Wszystko to zawdzięczamy węglowi kamiennemu. Przed 200 laty nie znano węgla zupełnie, odkrył go przypadkiem pewien kowal angielski, a dziś ma on w przemyśle pierwszorzędne znaczenie i służy do zaspokojenia tysiącznych potrzeb człowieka.

Podziwiajmy w tem dobrotliwą pieczę Opatrzności, która przygotowała nam w łonie ziemi tak wielkie skarby, słusznie «czarnymi dyamentami» nazywane, aby teraz, gdy

drzewa coraz mniej na ziemi, materyału na opał nigdy nam jednak nie zabrakło.

II.

Ciekawy, chociaż ponury widok przedstawia kopalnia węgla. Spuszcza się do niej przez studnię głęboką, dochodzącą aż do pokładu węgla. Taka studnia nazywa się szybem, w bok od szybu prowadzą podziemne korytarze i pieczary. Są to miejsca, z których już węgiel wyłamano, a że ich ściany i sklepienia mogłyby się zawalić, podpierają je słupami murowanymi albo drewnianemi belkami. Czasem takie korytarze podnoszą się ukośnie w górę, to znów schodzą ukośnie na dół, a to zależnie od tego, w jakim kierunku leży pokład węgla. W dużej kopalni korytarze te ciągną się jedne za drugimi, tworząc tak zwane piętra kopalni.

Do kopalni spuszczać się trzeba windą. Jest to pomost drewniany z baryerką, umocowany na drucianych linach i stanowiący jakby ruchome dno szybu. Na znak dany dzwonkiem pomost powoli opuszcza się w podziemie. Dziwne wówczas uczucie ogarnia tego, co po raz pierwszy probuje tej jazdy. Wilgotne, czarne ściany i belki migają ponuro przy blasku kaganków, a winda leci jakby w przepaść ciemną, nieskończoną.

Na dole w kopalni zimno i ciemno, słabe światło rozlewają tylko kaganki górników, to jest ludzi pracujących przy wydobywaniu węgla. Ruch jednak panuje wielki. Koło windy zbierają się wózki z węglem, pędzące po szynach ze wszystkich stron; słychać głuchy turkot kół, przyciszony gwar ludzi i głośne, tłumionem echem rozchodzące się po kopalni rozkazy dozorców, zwanych tu sztygarami. Windy wyciągają z kopalni wózki z węglem, w ruch je wprowadza maszyna parowa.

Po korytarzach wózki ciągnione są przez konie, które raz sprowadzone do kopalni, już nigdy z niej nie wychodzą. Stajnia ich — to długi, szeroki, wykuty w węglu korytarz; są tam przedziały na konie, żłoby, drabiny, słoma na podściółkę, słowem tak, jak w zwyłej stajni.

Górnicy wyłamują węgiel dłutami i młotem, albo drągami żelaznymi i oskardami; częściej jednak rozsadzają na

mniejsze kawały prochem, lub dynamitem. Górnik wywierciwszy otwór w węglu, zakłada ładunek z prochem, poczem podpala lont i sam szybko odbiega. Skoro iskra dostanie się do założonej miny, rozlega się huk straszny, aż drżą ściany kopalni i wnet następuje trzask sypiących się z góry odłamów rozsadzonego węgla. Po wyłamaniu węgiel ładuje się łopatami na wózki i dowozi do windy.

Węgiel na wierzch wydobyty gatunkują na większe i mniejsze kawałki, przesiewając go przez olbrzymie żelazne sita, czyli rafy. Wysortowany węgiel zsypuje się zwykle wprost do podstawionych wagonów, które rozwożą go w różne strony kraju i świata.

Smutne i dziwne jest życie w ponurem podziemiu kopalni. Ciemno, mokro, woda sączy się po ścianach, spada kroplami ze sklepień, zbiera się w rowy i spływa do większych zbiorników, skąd musi być wypompowaną, gdyż inaczej groziłaby zalaniem. Wyprowadzenie wody z kopalni jest jedną z prac najważniejszych, a dokonywa się jej zapomocą olbrzymich maszyn parowych i pomp, ustawionych zwykle w głębi kopalni.

Zawód górników jest ciężki, bo muszą oni pracować w podziemiu, bez światła słonecznego, w pyle, w powietrzu zimnem i wilgotnem. Jest przytem niebezpieczny, bo co chwila narażeni są na kalectwo, lub śmierć. Nieraz giną od odłamów węgla rozbijanego prochem, a częściej jeszcze od wybuchów gazu i pyłu węglowego. W wielu kopalniach tworzy się bowiem gaz ulatniający się z węgla i rozchodzący po korytarzach. Jeżeli górnik z płonącą lampką wejdzie tam przypadkiem, następuje straszny wybuch, zawala się korytarz i nieraz giną całe dziesiątki nieszczęśliwych robotników.

Zdarzają się jeszcze inne wypadki, to też górnik co rano wychodząc do kopalni, żegna się z żoną i dziećmi, nie będąc pewny, czy wróci do nich wieczorem.

Uroczyste wrażenie robi kaplica w kopalni, zwykle wyżłobiona w węglu w kształcie szerokiej sklepionej pieczary, w której na ołtarzu stoi w kwiaty przybrany posąg św. Barbary, Patronki górników, z jednej bryły węgla wykuty.

Miejcież, poszanowanie dla tych dzielnych, odważnych pracowników, a patrząc na węgiel kamienny, przypominajcie sobie, że on z wielkim trudem, z wielkiem narażeniem życia został z wnętrza ziemi dla nas wydobyty. Wobec pracy górników jakże miłą wyda się każda inna praca dokonywana przy świetle dziennem, a tembardziej praca rolników na swobodzie i świeżem powietrzu

Hierarchia kościelna.

Z kościelnego kalendarza wydanego na rok 1911 wyjmujemy kilka interesujących liczb, dotyczących hierarchii, czyli zarządu kościelnego.

Głowa Kościoła, Papież Pius X. jest 258-ym następcą Piotra św. Ojciec św. z domu Józef Sarto, urodził się dnia 2-go czerwca 1835 roku. Wybrany Papieżem dnia 9 go sierpnia 1903 roku.

Kardynałów, (których według zwyczaju zaprowadzono w roku 1586 przez Syksta V., być powinno 70-ciu, w tem 6-ciu Kardynałów-Biskupów, 50-ciu Kardynałów - kapłanów i 14-tu Kardynałów-dyakonów) — mamy obecnie 53 i to 5 ciu Biskupów, 43-ch kapłanów i 5 ciu dyakonów. Siedmnaście krzeseł kardynalskich jest więc niezajętych.

Z Kardynałów jest 29 ciu nierezydujących w Rzymie. Najstarszym Kardynałem co do wieku jest Książę-Biskup wiedeński, ks. Grusza, który się urodził 1820 roku — najmłodszym sekretarz stanu Merry del Vall, urodzony w roku 1865.

Z mianowanych przez Piusa IX. Kardynałów żyje już tylko jeden, Kardynał-Biskup Alojzy Oreglia. Z czasów Leona XIII. żyje jeszcze 37-miu, a Pius X. mianował 15-tu Kardynałów. Za czasów papiestwa Piusa X., a więc w 7-miu latach, zmarło 28-miu Kardynałów.

Patryarchów obrządku łacińskiego jest ośmiu, a mianowicie Patryarcha aleksandryjski, antyochijski, jerozolimski, konstantynopolski, lizboński, wschodnio-indyjski, wenecki i zachodnio-indyjski. Obrządku wschodniego mamy sześciu Patryarchów; trzech antyochijskich, aleksandryjski i babi-

lońsko cylicyjski. W liczbie 14-tu Patryarchów jest dużo tylko tytularnych.

Socyaliści w izbach prawodawczych.

Sekretaryat międzynarodowy w Brukseli zestawił liczbę głosów oddanych w ostatnich czasach na socyalistów w wyborach do parlamentów państw poszczególnych. Liczby te przedstawiają się jak następuje:

Niemcy 3 miliony 250 tysięcy, Francya 1 milion, Austrya, 1 milion, Stany Zjednoczone 600 tysięcy, Anglia 500 tysięcy, Belgia 500 tysięcy, Włochy 339 tysięcy, Finlandya 337 tysięcy, Szwajcarya 100 tysięcy, Dania 99 tysięcy, Norwegia 90 tysięcy, Holandya 82 tysiące, Szwecya 75 tysięcy, razem 8 milionów 72 tysiące.

Liczba posłów socyalistów w parlamentach wynosi:

Finlandya	ma	84	socyalistów	na	200	posłów
Szwecya	«	36	«	«	165	«
Dania	«	24	«	«	114	«
Belgia	«	34	«	«	166	«
Austrya	«	88	«	«	516	«
Francya	«	76	«	«	584	«
Niemcy	«	45	«	«	397	«
Norwegia	«	11	«	«	123	«
Włochy	«	44	«	«	508	«
Holandya	«	7	«	«	100	«
Anglia	«	40	«	«	670	«
Szwajcarya	«	7	«	«	170	»
Serbia	«	1	«	«	160	«
Hiszpania	«	1	«	«	404	»

Rozmaitości.

Zabawa w „karę śmierci“.

Pisma rosyjskie donoszą ciągle o szerzącem się pod wpływem ostatnich wypadków wśród dzieci zamiłowaniu zabawy w „karę śmierci“, która często kończy się fatal-

nie. Swieży fakt tego rodzaju opisuje *Russkoje Słowo.* Dwaj chłopcy wieku lat 8 do 10 w Taszkiencie zakradli się do pokoju ojca, wyciągnęli z szuflady biurka rewolwer i ropoczęli zabawę w „karę śmierci“. „Stan pod ścianą, a ja będę cię rozstrzeliwał“ — zawołał brat starszy; młodszy zgodził się i stanął pod ścianą. Starszy wymierzył w głowę brata, lecz rewolwer spalił na panewce, wówczas młodszy rozłożył ręce, żeby przedstawiać lepszy cel. Huknął wystrzał i malec padł na ziemię raniony śmiertelnie.

Słoń zbawcą.

Podczas ostatniego wylewu Gangesu (w Indyach azyatyckich), który przy Sorori pochłonął setki pielgrzymów indyjskich, przeszło tysiąc ludzi uratowało się dzięki mądrości zwierzęcia. Wylew zastał pielgrzymów zanurzonych po pas w świętej wodzie Gangesu, a nadszedł z tak niesłychaną szybkością, że kilkuset pobożnych znikło odrazu w falach rzeki, reszta zaś musiała walczyć z rozszalałym żywołem. Pewien słoń, należący do młodego Hindusa, okazał wówczas podziwu godną przezorność. Zanurzył się kilkakrotnie do rzeki i za każdym razem wyciągał na brzeg mnóstwo ludzi, którzy się czepiali lin, umocowanych do uprzęży zwierzęcia. W tak niezwykły sposób, katastrofa przybrała rozmiary daleko mniejsze.

Straszne samobójstwo

popełnił handlarz ryb Krutow z końcem r. 1910 w Niższym Nowogrodzie (w Rosyi) w przystani parostatków. Krutow, przybyły niedawno z Astrachania, przechadzał się spokojnie po przystani, gdy nagle podszedł do kramu z chlebem, porwał długi, wyostrzony nóż i z całym zamachem wbił go sobie w krtań.

Publiczność podbiegła doń i chciała go ubezwładnić, oszalały jednak z bólu Krutów, bronił się rozpaczliwie, wymachując nożem, który co chwila wbijał znów w gardło i rozszarpywał nim coraz bardziej ranę. Wreszcie

nóż straszliwemu samobójcy odebrano, ale wówczas szaleniec zagłębił palce obu rąk w ranę i zaczął wyszarpywać mięso.

Policyanci, których wreszcie zawołano, skrępowali ręce nieszczęśliwemu samobójcy i umieścili go w powozie, by go przewieźć do szpitala, ale wówczas publiczność zażądała, by samobójcy rozwiązano ręce. Jednakże skoro tylko ręce uwolniono mu z więzów, K utow znów, już bezsilny i wyczerpany długim upływem krwi, zaczął palcami rozjątrzać ranę. W drodze do szpitala zmarł. Przypuszczają, że Krutow targnął się w tak przerażający sposób na swoje życie w przystępie obłędu.

Najliczniejszą flotę powietrzną

i najlepiej wyćwiczonych żeglarzy na samolotach ma do tąd Francya. Obecnie postąpiła jeszcze krok naprzód; inżynier francuski Taron wymyślił nabój torpedowy powietrzny, zapomocą którego będzie można niszczyć z samolotu nieprzyjacielskie balony. Nabój torpedowy wywołuje przy zderzeniu się z balonem wybuch tegoż. Próby poczynione w tym kierunku dały znakomite wyniki.

Demonstracye pijaków.

Istnieje w Ameryce północnej tak zwana „armia zbawienia“, która starając się oczyścić życie ludzkie z różnych zdrożności i przywar, walczy także zawzięcie z pijaństwem. Aby naocznie okazać jak wygląda gromada pijaków, urządziła niedawno w Nowym Jorku demonstracyę złożoną z samych opilców.

Ze wszystkich szynków i nor nowojorskich pozbierano setki pijanych mężczyzn i kobiet i w otoczeniu członków „armii zbawienia“ prowadzono ich przy dźwiękach orkiestry po ulicach miasta. Masa policyi i oficerów owej armii pilnowała porządku i udzielała „pomocy“ t m, których rozebrało w czasie pochodu.

Pochód ten, krzyczący i przeraźliwie śpiewający, wzbudzał naturalnie na ulicach Nowego Jorku wielkie wrażenie i wesołość.

Wieczorem odbyło się „nabożeństwo“ armii zbawienia, na którem jeden z jej członków niejaki Oliwier Tommeddy wygłosił do pijanych ogromnie budujące kazanie na temat szkodliwości upijania się. Wielu w czasie tego kazania rozbijało przyniesione flaszki wódki i ślubowało wstrzemięźliwość, większość jednak uczestników tej demonstracyi i tego nabożeństwa znaleziono — wedle raportów policyjnych — tej samej nocy pijanych do nieprzytomności w tych samych szynkach, w których zwerbowała ich armia zbawienia.

Język małp.

Profesor Garner, który bada od lat dwudziestu „język małp“, doszedł już do zrozumienia... aż jedenastu słów! Profesor prowadzi swe „studya językowe“ z dwiema odmianami małp, które zdaniem jego, odznaczają się najwyraźniejszą „wymową“. Sześć dźwięków, które podobno profesor nauczył się odróżniać, wydaje małpa, zwana przez przyrodników *cercopithecus nictitous.*

Dźwięk „kuni“ w języku tej małpy znaczy „chcę“, dźwięk „urh“ — gdzie jesteś?; dźwięk „unh“ — tutaj!; dźwięk „ki-zuhu“ — odejdź! precz!; dźwięk „auhu“ — zatrzymaj się; dźwięk „czuh“ — co tam? czego?

Oczywiście profesor zapewnia, że dźwięki, wydawane przez małpy, mogą być notowane za pomocą pisowni języków ludzkich tylko w przybliżeniu. Następne pięć dźwięków należą do małpy, zwanej *cercopithecus ludio.* „Ehe“ w tym języku znaczy „czego“?; „kiuh“ — chcę; „krii“ — gdzie; „ku hu“ — tutaj; „Aazz“ — niebezpieczeństwo, baczność. Jeżeli wyniki te badań profesora nie są zbyt wielkie, to za to jego małpa przyswojona, szympans-samica, zrobiła podobno większe postępy w rozumieniu mowy ludzkiej. Szympans rozumie podobno następujące wyrażenia: Wyjdź, chodź, połóż się, odejdź na bok, podaj mi to, usiądź, opuść nogi, weź swoją filiżankę, przysuń sobie krzesło, weź to ręką, rób dalej, przysuń mi to, podnieś się, skocz, poczekaj, prędko, pij, pocałuj, stół, łyżka. Tak się przynajmniej wydaje owemu profesorowi — ale czy tak jest w istocie — to niewiadomo.

Ciekawa niespodzianka

spotkała kilku złodziejów we Wilnie. Skradli dość ciężką skrzynię drowi Bakraszowi i zanieśli ją do sąsiedniego domu. Spodziewając się obfitego łupu, zabrali się z pospiechem do otwierania skrzyni. Wieko uniosło się wreszcie, a oczom chciwych złodziejów ukazało się 14 — czaszek ludzkich. Złodzieje oniemieli z przerażenia i uciekli. Pudło pozostało i zauważyli je mieszkańcy domu. Pewna ciekawa kobieta uchyliła wieko i zobaczywszy czaszki, wrzasnęła straszliwie. Wszystko się zbiegło, lecz kobieta wskazała tylko na skrzynię, nie mogąc głosu wydobyć. Każdy bał się zbliżyć, aż wreszcie jakiś odważny człowiek otworzył skrzynię. Zrobił się rozruch niemały. Lataninę i wrzaski zauważył lekarz, a sądząc, że zaszło nieszczęście, poszedł zobaczyć, co się dzieje, i w ten sposób odzyskał swą własność.

Włosy Papieża.

W pałacu papieskim zauważono, że jeden ze służby najbliżej Papieża, niejaki Antoni Graziadel posiada zawsze sporo gotówki i pozwala sobie na większe wydatki, niż na to może mu starczyć pensya. Śledząc go bliżej, stwierdzono, że pomysłowy ten sługa sprzedawał włosy Papieża za grube pieniądze różnym pielgrzymom, zwłaszcza cudzoziemcom. Gdy Papież dawał włosy strzydz naddwornemu balwierzowi, Graziadal zbierał je i następnie sprzedawał, zebrawszy za nie kilka tysięcy lirów. Pomysłowego sługę wydalono, a kilka loków papieskich, jakie miał przy sobie skonfiskowano.

Przysyłajcie prenumeratę! — Kto do końca lutego za „ŚWIATŁO" nie zapłaci, — temu wstrzymamy od marca dalszą przesyłkę pisma!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Nasze sługi. Pani: — Kasiu kupiłaś cytryn?

Kasia: — Kupiłam, proszę pani, ale wszystkie wyrzuciłam, bo kwaśne.

Taki, jak ojciec. — Słuchaj, nauczyciel się skarży, powiada, że większego od ciebie łobuza w całej szkole niema.

— Tak, a wczoraj mi mówił, że jestem zupełnie taki, jak ojciec.

W menażeryi. — Pogromca zwierząt zmusza lwy skakać przez obręcz.

— Jakbym to samo potrafił — woła jeden obecny chłopak.

— Co, lwy poskramiać?

— Nie, odrzecze chłopak, ale skakać przez obręcz.

* * *

Sędzia: — Jak mogliście Jakóbie nazwać Wojciecha starym osłem?

Jakób: — Ależ prześwietny sędzio, znam go przecież już tak dawno...

Dobra rada, — Co ja tu poradzę, moja sąsiadko, mąż mi się co dzień upija, w domu nie siedzi tylko ciągle w szynku.

— Ot jest przecie rada...

— No jaka?

— Załóżcie sobie szynk, to będzie wtedy siedział w domu!

* * *

Nauczyciel: — Jak się nie poprawisz, to ojca przyprawisz o siwiznę.

Uczeń: — Tato nie osiwieje, bono si perukę.